

Kronika tygodniowa.

Dzień 29 lutego b. r., niedziela, przeznaczony był na manifestację w sprawie cieszyńskiej, który się miał odbyć, o ile pogoda dopisze, na Ryńku krakowskim.

Według zapowiedzi Komitetu, ogłoszonych w krakowskich dziennikach, pierwszy pociąg ze Ślązakami, którzy zgłosili masowo swój przyjazd, aby w ten sposób wyrazić swemu przegranej najcięższemu połączeniu z resztą Polski, miał przybyć na krakowski dworzec kolejowy o godzinie jedenastej minuty dziesiątej, drugi w dwadzieścia minut później, skąd, po krótkim powitaniu, miało się udać w nocny pochód na Rynek, gdzie ustawiono dla trybuny dla mówców. Spaleni mieli tworzyć młodzież szlachecka, która na powitanie miłych gości przebrała się w oświeczone wystrój, tembardziej zaś Rynek, jako miejsce wieczu.

Ponieważ odjazd miał nastąpić wieczorem, a wiec nie trwał aż do ostatniej chwili, należało się spodziewać, że Komitet postara się o to, aby goście mieli się gdzie i czem pościć, zwłaszcza że Kraków znany jest przecież w całym świecie ze swej staropolskiej gościnności. Wiec i przedstawienia w obu miejskich teatrach, to była strawa dla duha, ale i ciało domaga się też od czasu do czasu o swe prawa, a nie każdy z uczestników zaopatrzył się w zapasy na drogę, wiedząc o tem, że jedzie do Krakowa, gdzie go z pewnością przyjmą po staropolsku.

Tak być miało, a raczej powinno, było natomiast trochę inaczej.

Już w niedzielę rano ogłoszono w dziennikach, że program uległ pewnej zmianie, pierwszy bowiem pociąg przybędzie już o dziewiątej, następne zaś w półgodzinnych odstępach, należy zatem zebrać się wcześniej celem powitania przybyłych.

Niestety, o tej zmianie dowiedziało się wielu Krakowian zapóźno, gdyż to była niedziela, przeznaczona z urzędu na spoczynek, wychodzi się więc z domu później niż zwykle, nie kupuje się gazet, gdyż agencje pozamykane.

Na dziewiątą zebrało się więc niewiele ludzi, przekonali się przecież, że przyszli zawczas, pierwszy bowiem pociąg spóźnił się „ze zwykłą punktualnością”, a za nim następne. Czekano jednak cierpliwie, aż się doczekano... tych, którzy się wybrali na powitanie o jedenastej. Ale i ci nie potrzebowali się spieszyć, bo pociąg z gośćmi jakoś nie widział...

Nadszedł wreszcie pierwszy pociąg gdzieś koło dwunastej, witających szereg tymczasem się bardzo przerzedził. Jedni poszli do kościoła, drudzy na flaki, obliczając sobie, że się potem spotkają na Ryńku.

Spóźnienie się pociągów nie zależało od Komitetu i o to się go nie wini, szkoda natomiast, że zapomnieli przypomnieć magistratowi i właścicielom domów, iż wypadają budynki miejskie i prywatne przyozdobić flagami, nie zauważyliśmy zaś literalnie ani jednej. Czyżby były w praniu?

Tęgo rodzaju objawienia swej radości nie powinno się właściwie nikomu przypominać, magistrat i obywatelstwo winni to być uczynić z własnej inicjatywy, lecz w Krakowie taki już zwyczaj, że, jeżeli się nie przypomni, to widać nie potrzeba.

Gdy kronikarz zwrócił na tę okoliczność uwagę jednego z ojców miasta (na nralnie także kamienicznika), ten odrzekł:

— Panie drogi!... Rynek nasz jest tak piękny, że żadnych sztucznych ozdób nie potrzebuje.

I trzeba mu było przyznać rację, zwłaszcza jeżeli się kiedy oglądało krakowskie flagi, których większość przypomina od roku przynajmniej nieprane ścierki.

Aby przecież odjąć każdemu słusność, jaka się mu należy, trzeba przyznać, że Komitet postarał się bodaj o pogodę, która dopisała pod każdym względem. A jeszcze w sobotę wieczór nie miało się nadziei, że się wypogodzi. W docznie i w niebieskich są adania, że w sprawie cieszyńskiej, spiskiej i orawskiej jest słusność po naszej stronie. Czeskie wpływy tak wysoko jeszcze nie doszły...

Ślązacy udali się zatem z dworca na Rynek, nie wiedzieli przecież, w którą stronę się zwrócić, pod Mickiewicza, czy w stronę ratusza, a nie znalazł się nikt, kto chciałby ich skierować na właściwe miejsce.

Wygłoszono odpowiednio przemowy i powzięto rezolucje, o czem Czytelnicy wiedzą z pism codziennych. Po drugiej godzinie od strony ulicy Szewskiej nie było już nikogo, natomiast pomnik Mickiewicza był oblężony. Z zapartym oddechem słuchano przemówień, które zrobity głośno wrażenie na słuchaczach.

Krakowianie powoli, dyskretnie, wycofywali się do domów na obładek.

— Radca dobrodziej nie czeka końca? — pytam

mojego towarzysza, z którym przedtem rozmawiałem o dekeracji miasta.

— A nie! — odpowiedział. — Coś mnie mdli w okolicy żółdka, bo to człowiek od rana nie miał nic w ustach.

— No a tradycyjne flaczki?

— Jadłem przed dziesiątą, ale to porcja dla kotka, nie dla dorosłego człowieka!... Zresztą moja stara nie lubi, jeżeli się spóźnię, a w niedzielę u nas obiad o drugiej!...

— Ciekawy jednak jestem — badałem dalej — czy też postarano się o to, aby nas goście znaleźli gdzieś jakiś posiłek. Wyjechali z domu wczesnym rankiem, wrócić późną nocą... A zdaje mi się, że radca dobrodziej jest też członkiem Komitetu...

— Jestem!... Jestem!... Nie odmawiam nigdy, gdy się rozchodzi o jakiś piękny cel. Ale muszę się przyznać, że na żadnym posiedzeniu nie byłem, gdyż miałem czas czem innym zajęty. Zresztą, kochany panie, Ślązacy to są ludzie praktyczni, więc z pewnością zadają z nich nie zapomnieli o zaopatrzeniu się na drogę!... Ja tam, o ile wybieram się gdzieś, mam zawsze ze sobą prowianty...

— Jednak oni jechali do Krakowa, a Kraków to przecież serce Polski, znany w całym świecie z swej gościnności!...

— Zastępuje też na to!... Mało to zjadły i wypili u nas te różnorodne zagraniczne misye?

— Tembardziej zatem powinno być dla swoich!... Żadne wyobrażenia będą mieć o tem serce Polski!...

— A cóż serce ma wspólnego z jedzeniem?... Zresztą oni przyjechali tu podnieść swego ducha, a nie wzmocnić ciała... Poza tem wie pan najlepiej, że jesteśmy biedni i budżet zamykamy stałe deficytem...

— Tak!... Wiem!... Serce Polski cierpi na chroniczną niedomykalność zastawki budżetowej... Ale to nie ma nic do rzeczy!... Nikt nie wymaga, aby miasto na tołożyło, skoro ono ma pieniądze tylko na przyjęcie zagranicznych damozdów!... Wystarczyło zupełnie, aby Komitet postarał się o to, aby było gdzie i co, a oni chętnie za to zapłacą!...

— Może Komitet pomyślał o tem!... Ja tam nie wiem — tu spojrział na zegarek. — Żegnaj kochanego pana, bo już druga, a mam na obiad wleprzynkę ze skórki!...

I pokazało się, że Komitet o tem zupełnie nie pomyślał. Po skończeniu wiecu zaczęli się nasi goście kręcić bezradnie po mieście, szukając jakiejś jadalni, aby się pokrzepić, niestety, jedne już zamknięte, w drugich, co było, wyszło, gdyż gościnni Krakowianie, nie mogąc się doczekać na przybycie gości, urządzili gwałtowną ofensywę na bufety i zjedli, co było, a było tego niewiele, bowiem panowie masarze zmuszają nas do ścisłego przestrzegania postu. Kardynał Kakowski ogłosił wprowadzić, że wolno obecnie przez cały wielki post jeść mięso i zwierzęce tłuszcze (jeżeli się ma na te...), krakowscy masarze nie chcą na to pozwolić, byśmy lekkomyślnie zaprzęśli swe dusze i pochowali wędliny, słoninę, smalec...

Głodowali zatem biedacy, którzy do nas z taką radością spieszyli, ale może to i lepiej... Gdyby się w niektórych restauracjach przekonali, jakie są ceny, i porównali je ze swymi, powiedzieliby z pewnością:

— Ten Kraków to naprawdę drogi, nie tylko dla serca, ale i dla kieszeni!...

Zatem konkluzja, że nie mamy szczęścia do komitetów, a komitety do urządzania uroczystości. Bo i cóż byłoby szkodziło, gdyby czy to w jakimś miejskim budynku, czy też w którymś refektarzu klasztornym urządzono bufet, niechby nawet za opłatą (choć na to gościnność nie pozwala!...). Nadawała się na ten cel zupełnie miejska kachnia obywatelska i tam należało skierować przybyszów po skończonym wiecu.

Nie znalazłszy zatem nic, czem można by się pokrzepić i wzmocnić, wesoło, choć o głodzie, pospieszono do obu miejskich teatrów, stąd zaś na kolej i pożegnano Kraków, który słynął z gościnności, ale... z czasem Wierzyńska, dziś zaś ma jej napady, lecz zwykle nie wtedy, kiedy potrzeba...

Nie ma przecież złego, aby na dobre nie wyszło. Na wszystko jest wytłumaczenie...

A gdyby tak w samej rzeczy urządził Kraków coś na przyjęcie gości, obliczył, że będzie ich dwa tysiące i na tyle się przygotował, a samych Krakowian zaprosił... sześć tysięcy?... Powtórzyłoby się to, co było na owym słynnym rucie w Sukiennicach (Krakowianie tego rodzaju wezwaniom są bardzo podatni i stała przybywa ich więcej, niż wydano zaproszeń...). Na jeden z gości mógłby to przypisać zdrowiem, a byłaby to woda na czeski mięt. Papież mawiał by potem:

— A widzieli!... I pocóżście tam jechali?... My wam tu nie potaniamy niczego ale głoszą, że za nami!...

Sama idea wiecu była bardzo trafnie obmyślana i Kraków zupełnie odpowiednio na jego miejsce obrany. Śląsk przez usta swych przedstawicieli i masowe jawienie się tamtejszej ludności ze wszystkich sfer i wszyst-

kich stronnictw zamyślił stawał najlepiej swą polskość i powiedział, że był polski, jest polski i będzie polski, że ściera się nie zmusi go do zerwania łączności z Macierzą i że próżne są zakusy i wysiłki czeskie. Z tem musi się liczyć i koalicyja i jej „beztroska” przedstawicielstwo w Cieszyńsku. Na pożegnanie Ślązaków i Orawianków w Carum Durajcu oświadczył jeden z mówców, że, jeżeli nie dani są przy zbliżeniu kartki głosowania, to dopisze polski bagnet, w Krakowie wspomniano o silnej flaszce piędzi, z którą się Czesi mieli już sposobność bliżej zaznaczyć...

Śląsk, Siles i Orawa muszą być nasze, bo tego wymaga sprawiedliwość dla której względy historyczne i etnograficzne powinny być ważniejsze, niż węgłowe!

I dlatego powinniśmy w tamtą stronę spojrzeć z ufnością, to ten lud, który tam mieszka, z pewnością nas nie zawiedzie. Długo może zbyt mało poświęciliśmy mu uwagi i zbyt późno ocknieliśmy się, to tymczasem obecna nierozważna wdarda się na nasze obejście i poczęła ryc nasze grzedy.

Lecz czasu jest jeszcze dość, aby złe nawrócić, otwierając swe serce tym, którzy tyle wycierpieli, tyle też i krwi wylałi, dlatego tylko, że są Polakami.

Ślązaków powinien być Kraków przyjąć tak łasznie, aby echo tego przyjęcia odłło się głośno nie tylko w Pradze, ale i w Paryżu i Londynie.

A jeżeli s'us'na sprawa nie zwycięży?...

Ha!... W takim razie potrafiłby się wspomnieć o naszym prawie, bo są jeszcze tacy, którzy mają jakieś ideały i potrafią ich bronić, choćby z szablą w dłoni.

I nie braknie ich nawet i w tem najciemniejszym pokoleniu, które w czasie obecnej wojny wprost z ławy szkolnej zaciągnęło się pod sztandary, aby, jeżeli zajdzie tego potrzeba, oddać i życie w służbie Tej, którą kochać uczyla ich matka od pierwszych dni młodości!...

Jakie jednak będzie przyszłe pokolenie, powojenne, wychowane przez matki, dla których ideałem *two-steep* i *fox-trotty*!...

Takie pytanie nasuwa się po przeczytaniu „małego fajletonu” w *Kurjerka* p. t. „*Dwa pokolenia*”.

Bohaterką jest tu panna Niusia, która wywołuje oburzenie swej babci, produkując się wobec niej nowomocnym tańcem *two-steep*...

Kto zna nowe wymysły w dziedzinie choreografii, ten wie, że im tańce bezsensowniejszy i dziłszy, tem dziś modniejsz.

Babcia pojąć nie potrafi, jak młoda panienka może publicznie wykonywać podobne ruchy i pyta ciekawie, co też mówił do niej jej dancier w czasie tańca!...

A Niusia na to, że ów śliczny poręcznik edzwał się do niej tak, jak powinien dobrze wychowany młody człowiek do młodej panienki na sali balowej, to jest, że jest ślicznie zbudowana, że ma rasowe nogi, że pachnie jak wiosenna łąka, że jej pożąda!...

I nie w tem dziwnego, że babcia, wychowana w zupełnie innych zasadach, zemłalała, bo i w kronikarzu artykuł ten wywołał bardzo nieprzyjemne uczucie i przeświadczenie, że pani „*haef*” młodym przedstawicielkom swej płci oddała bardzo niefortunną przysługę, przedstawiając je w daleko gorszym świetle, niż na to zasługują. Są może między nimi takie „woj nne pódzie-wice”, ogół przecież jest inny.

I mimowoli nasuwa się myśl, jakie też przyszłe pokolenie wychowa matka, wyrosła w atmosferze obecnej i lubiącej się tego rodzaju „balową” rozmową, która za naszych dawnych, z pewnością lepszych czasów, mogła mieć miejsce na... *Florabala* lub *Reducie* w starym teatrze!...

Al! czasy się zmieniają, zmieniają się z nimi i ludzie. Kronikarz należy do tego samego pokolenia, co i owa babcia, i jest z tego zadowolony, patrząc bowiem na młode i na jego życie, jakimi idzie tory, chciałby powiedzieć: „Przeście, dzieci, bo się źle bawicie!”, boi się jednak, by go nie okrzyczano za cofaniem, nie rozumiejącym nowych prądów i postępu!...

Jeżeli to jednak ma być objawem postępu, to stokród byłoby nam lepiej wrócić do owych czasów, w których babcia ndział w życiu babci, kierując się zasadami *savoir vivre*’u.

Autorka „*Dwa pokolenia*” nie osiągnęła celu... Babcia, w jej przedstawienu, budzi sympatye, a Niusia, co najwyżej niesmak, a nawet niejeden młody kawaler, czytając ten artykuł, powie zniechęconie seryo:

— Od powietrza, głodu, ognia i wojny i takiej żony zachowaj mi!e Paule!

A porównując oba te pokolenia, z których jednego przedstawicielką jest babcia, drugiego zaś Niusia, musimy przyznać, że tamtemu należy się cześć i uznanie, bo ono wydził tych, którzy tą chlubą obryli (ręć polski i szeroko w świat roznieśli sławę polskiego imienia, a bardzo poważne watliwości nasuwają się na myśl, jaką też będzie progenitura tego drugiego!...

Ale, powtarzam, ta Niusia to wyjątek!...